

„Antygona” w tarnowskim teatrze

Sceny i aktorzy

Konrad Wojciechowski

Jedno jest pewne – Tarnów potrzebuje teatru - potrzebuje ludzi, którzy w poważny sposób traktują swoją pasję tworzenia i kontaktu z innymi ludźmi; widzami, których liczba (i jakość) będzie rosła proporcjonalnie do ich przez teatr traktowania.

Ostatnia premiera na tarnowskiej scenie zdaje się odrabiać stracony do widzów dystans. I choć po raz kolejny zaproponowano nam szkolną lekturę (obiektywnie nie ma w tym nic złego), to tym razem nauczyciele mogą swym uczniom bez większych obaw zaproponować teatralną „Antygonę”.

Przed wszystkim oglądamy spektakl spójny, w którym wiadomo o co chodzi; w którym aktorzy nie „objają się” o scenografię, muzyka

nie przeszkadza myślom, a koniec nie wyprzedza początku. Zasluga to nie tylko Sofoklesa (zepsuć można wszystko, co już udowodniono nie raz), ale przede wszystkim **Ireneusza Janiszewskiego**, reżysera tarnowskiej inscenizacji tego dramatu. Fakt, że reżyser jest tutaj jednocześnie scenografem i widowisko swe opracował muzycznie, tylko w praktyce wspomaga wcześniej zaznaczoną spójność.

Bardzo nośną, stymulującą wyobraźnię, jest przyjęta w spektaklu konwencja wizualna, godząca ze sobą (choć momentami z trudem) anturaz klasyczny z anturazem „wojennym”, ale takim bardziej współczesnym, bałkańskim. Dodatkowo wpasują się w to bezboleśnie kantorskie klimaty, w które „ubrano” Chór. Warto też zauważyć surowe blachy pałacu – wagonu, to naprawdę dobry pomysł; tak jak i ten z głębi (ich głosy!).

Znacznie gorzej jest z głosami aktorów; w ogóle z tym, co nam proponują w kreowanych przez siebie postaciach. Nie chodzi tutaj o tęsknotę za jakimś wyjątkowym aktorstwem. Role dla tego dramatu najważniejsze – po prostu nie przekonują.

Konflikt pomiędzy tytułową bohaterką a królem, scenicznie nijak się nie obrazuje. On i ona mijają się na scenie i tylko recytują Sofoklesa, który opisał to, co pomiędzy nimi istnieć powinno, a czego oni nie robią. Rozchwiana emocjonalnie (bardziej technicznie niż scenicznie) Antygona **Anny Nowickiej** epatuje infantylnymi i niekonsekwentnymi uniesieniami. Jej adwersarz Kreon (**Marek Kępiński**) zdaje się być zupełnie obok roli. Tak w sztucznych pokrzykiwaniach, jak i w tyradach, których siła jest bardzo dyskusyjna. Widać wyraźnie, że postać władcy Teb zupełnie do niego nie pasuje i ciąży mu bardziej niż **Przemysław Sejmicki** (Hajmon), którego przychodzi Kępińskiemu w jednej ze scen dźwigać na plecach.

Właśnie w ukazaniu postaci Hajmona dostrzec można „pęknięcia”

wcześniej tu chwalonej spójności spektaklu. Jego irchowa kurteczka – marynareczka i papierowa wściekłość na ojca, którymi nam się przedstawia, są zupełnie z innej bajki dramatycznej. A nade wszystko są sztuczne.

Sceną rządzi natomiast **Jan Manciewicz**, w specjalnym kostiumie

scena, w której Antygona przytula się do trupa swego brata Polineikesa, albo owa „huśtawka śmierci” z siedzącą na niej Antygoną i półnagimi postaciami Hajmona i Polineikesa.

Mój szacunek do realizatorów spektaklu wzbudziła scena pierwszego spotkania dwóch siostr – Antygony i Ismeny (**Anna Lenczewska**), a szczególnie jej finał, kiedy to ta druga, odchodząc, nie zapomniała zebrać z podłogi dwóch części rozbitej przez Antygonę miseczki.

Tym bardziej byłem zaskoczony i zniesmaczony potraktowaniem dwóch kawałów mięsa, które w finale porzucono na tej samej podłodze. Najpierw długo leżały „nie ograne” zupełnie, a potem realizatorzy kłaniali się premiero-

wo, odbierali kwiaty i „deptali” tę skrwawioną Sofoklesową ziemię. I jak tu wierzyć takim aktorom, boć przecież w teatr wierzyć należy na pewno.

Sofokles, Antygona. Reżyseria, scenografia i opracowanie muzyczne – Ireneusz Janiszewski. Tarnowski Teatr im. L. Solńskiego. Spektakl premierowy, 9 lutego 2002 r.



Anna Nowicka jako Antygona (z prawej) i Anna Lenczewska w roli Ismeny

Przodownika Chóru i jakoś nie mogę uwierzyć, aby o taką dominację – skądinąd drugoplanowej postaci – chodziło reżyserowi. Sam aktor zaś, zamiast rzeczywistość komentować, próbuje ją kształtować, roli swej nadając zbędne, błazeńskie (stańczykowskie?) cechy.

Piękne w tym spektaklu są sceny symboliczne, które przejmują niejako rolę Chóru i wraz z muzyką (!) puentują wydarzenia poprzez swoiste „zatrzymania w kadrze”. Na przykład